

Antoni Łomasz

Urodziłem się 8 stycznia 1939 roku w miejscowości Sarwaiszki, miejsce to było idealne, gdziekolwiek na świecie jest raj, to tam na pewno, duże jezioro, mieszkaliśmy na półwyspie, rodzice zajęci byli pracą, a dzieci robiły, co chciały. Były tam lasy, kąpieliska, nikt nam nie przeszkadzał, jak byliśmy głodni do domu wracaliśmy, ale to było rzadko.

Kiedy miałem już 10 lat po wojnie dawno w 1949 w nocy przyjechali do nas enkawudziści, dali nam 15 minut, żeby się ubrać, zabierać nic nie było wolno, tylko to, co na sobie mamy i co wzięliśmy w rękę. Szkoda, że wtedy niektóre dokumenty zostały.

Zawieźli nas na Syberię wschodnią w obwodzie Irkuckim i później w Tajgę, ja byłem najmniejszy z rodziny. Wywózka był 25 marca jakieś święto religijne było. Najpierw chodziłem do szkoły litewskiej, potem zapisałem się do szkoły rosyjskiej i tam kończyłem klasę 4, bardzo chciałem się uczyć i język rosyjski szybko opanowałem. Chodziłem tam do szkoły do 1955 roku.

Dwie przyczyny wywózki były, pierwsza - uznano, że jesteśmy kułakami, ojciec miał ponad 70 hektarów ziemi. A druga sprawa to Akowcy w czasie wojny napadli na posterunek i zabrali bardzo dużo broni, pistolety, karabiny, amunicje i nie wiedzieli gdzie przechować i przywieźli do nas jeziorem i tam gdzie ojciec trzymał konie, wykopali dół i w skrzyni zakopali. Po wojnie przyszli do nas enkawudziści z jednym Akowcem, sąsiadem naszym. Sąsiad był pobity nieprawdopodobnie, ledwo mówił i przyznał, że to on zdradził. Dwie furmanki broni załadowane były, zima była wtedy. I nie długo potem zabrano nas na Syberię, wystarczające przyczyny w rozumieniu Rosjan.

Był rok 1949, pierwszy rok chodziłem do 4 klasy, a potem już 15 kilometrów drogi do stacji Załari i tam chodziłem do szkoły. Ciężka była sprawa, pierwszy rok to był głód w zasadzie. Matka wspominała, że gotowała zupę z pokrzywy,

Wynajęliśmy opuszczoną łaźnię, ani prądu, ani gazu niczego, drewno musieliśmy sami organizować, ale to dopiero do Tajgi trzeba było jechać. Łaźnię wynajęliśmy a u gospodarza odpracowywaliśmy. W studniach rozbijaliśmy lód, siedzieliśmy w wiadrze. Nas dwóch braci było i jeden kolega, prowiant dawali nam rodzice na tydzień, to był bochenek chleba i słoik smalcu, dokładnie po tygodniu w sobotę do domu wracaliśmy, tak było regularnie. Po dwóch latach ja zostałem sam w tej łaźni, brat i kolega poszli do pracy. I w dalszym ciągu bochenek chleba, słoik smalcu, to było wyżywienie na cały tydzień. Zdarzało się, że w piątek się skończyło a sobota na drugą zmianę lekcja była, także dość głodny byłem i 15 km do domu leciałem. Mrozy były tak 40 stopni to normalne, największy mróz jaki tam przeżyłem, to były 62 stopnie. Jak sam człowiek idzie w takiej temperaturze długo, to nie może być sam, bo zamarźnie. Szalik na twarzy i tylko oczy widać, a oddychać trzeba. Para w lód i się przychodziło do drzewa i odłupywało się ten lód co jakiś czas, by lżej się szło. To była nieprosta sprawa. Odmrożenia – nos, uszy, stopy. Rada taka - do mieszkania ciepłego, śniegu do miski i śniegiem trzeć, dwa razy miałem duży palec odmrożony. Przez Tajgę na skróty sam 15 kilometrów chodziłem, widziałem nie raz na śniegu krew, wilki zagryzały sarny.

Mój jeden brat zginął, na motorze go wystali, by coś załatwić, motor się zepsuł, mróz był siarczysty i nie dał rady, zamarzył z zimna. A drugi miał słabe płuca i też nie wytrzymał. Jeden starszy ode mnie trzy lata, a drugi sześć. Jeszcze był brat, którego wzięto do armii.

Jak nie chodziłem do szkoły to pracowałem m.in. w cegielni całe lato, ciężka praca, opalaliśmy drewnem, dziennie tysiąc cegieł, jak były żniwa to pracowałem pod kombajnem, to już była praca lekka, ale pole było dalekie od domu, mieszkaliśmy w barakach, dostawaliśmy obiad, śmierdzący, ale jadłem, bo głodny byłem. Przeważnie pszenica i proso.

Pierwsze dwa lata ojciec pracował w kołchozie, ale uznali, że był dobry budowniczym, zbudował spichlerz, oborę. On dostawał chleba tyle, że bochenek oddawał dla rodziny.

Hart, wytrwałość, solidność tego nauczyła mnie Syberia, kto nie pracuje ten nie je. Nauki były jednak niektóre przydatne, bałem się jedynie głodu. Ziemiaki kopaliśmy na wiosnę, z nich krochmal i kluski. Wszystko liczone było na dniówki. Głód był stały. Słaby umiera, silny przeżyje. Silna psychika pomagała.

Tęskniłem za tym, by się wyrwać z tej Syberii i żeby dożyć, dotrzeć do 2000 roku, musi być jakaś zmiana. Izba jedna wszystko prymitywne, w łaźni po naftę chodziliśmy. Lekcje odrabialiśmy przy płomieniach z pieca. Zabawy nie było, tylko praca. Przyjaźni też nie było. Raz w klasie taki Rosjanin przede mną siedział, uszy ma jak pies na dół spuszczone odmrożone, nikt go nie pouczył i jeszcze ogromna wesz mu chodziła, wszy i pluskwy. Wodę z rzeki braliśmy. Tęsknota była za normalnym życiem.

Powiedzieli nam, że dożywotnio nas wywożą, jak pytaliśmy gdzie, mówili, że na białe niedźwiedzie. Ale tam nie było białych niedźwiedzi tylko były brunatne. Warunki były ciężkie, potem coraz lepsze i udało się przeżyć. Pod koniec 1956 roku dowiedzieliśmy się, że wracamy do Polski, już nie w bydłowych wagonach tylko w pasażerskich.

Jak tu przyjechałem to już po polsku maturę zdałem, skończyłem studia politechniczne, potem krótko pracowałem w hucie, a potem w szkole i uczenie mi się spodobało. Mieszkałem na Dolnym Śląsku, a potem przeprowadziliśmy się do Łodzi.

Cały nasz majątek przepadł, raj przepadł. O Syberii mówiło się szeptem, bo to bardzo źle było przyjmowane. Żałuję najbardziej, że straciliśmy nasze ziemie, dom. Teraz wszystko zrównane, jeziora nie widać. Wszystko się zmieniło. Nie ma już rajów.

Mówi się, że nie ma cudów, ale ja przeżyłem cud, miałem dożywocie, a mój wyrok trwał 7 lat. Wiedzano, że stamtąd nie ma ucieczki.

Mówili: „sąd to Tajga, a prokurator to niedźwiedź.”